

Jacek Koronacki
Tygodnik „Sieci” 17/2022, 24 kwietnia 2022

Recenzja książki Aleksandra Nalaskowskiego pt. „Bankructwo polskiej inteligencji”

Ta książka jest jak symfonia, jakkolwiek nieklasyczna, ponieważ ma nietypowy układ części i po bardzo dobrym „Wstępie” następuje jeszcze wprowadzenie opisujące te elementy aparatu pojęciowego stosowanego przez Autora, na których budowana jest całość opowieści. Dzieło ma cztery części, każda z których składa się ze zwykle krótkich rozdziałów. Te cztery części poprzedzone są wspomnianym już „Wstępem” oraz rozdziałem zatytułowanym „Metoda”. Niniejszy recenzent jest przekonany, że rozdział pt. „Metoda” powinien zawierać w sobie również dwa pierwsze rozdziały części pierwszej, ponieważ to one wspólnie tworzą metodologiczne wprowadzenie do całości. Przyjęty układ psuje spójność dzieła, ale też jest to jedyny zarzut, jaki potrafię postawić jego kompozycji.

Rzeczony wprowadzenie jest tyleż potrzebne merytorycznie, co mylące ze względu na swoją formę. Ma ono charakter mocno teoretyczny, Autor rozszczepia włos przyjętej metodologii na czworo, opisuje mędrca-autora szkiełko i oko, a to – skoro mowa jest o wprowadzeniu do dzieła – zapowiada taki też, skłonny do teoretyzowania, akademicki ciąg dalszy całości. Na szczęście nic bardziej mylnego – dalej mamy części mieniące się różnymi barwami, zawsze poruszające, czy to głębią oraz odkrywczością treści i wtedy raczej „powolne” (by wrócić do muzycznej analogii), czy mocą trafności oraz ostrości widzenia obserwowanych zjawisk (Nalaskowski ma pióro znakomite, o ogromnej sile rażenia, gdy razić należy, które potrafi grać piano i pianissimo, gdy głos należy ściszyć).

Autor zastanawia się we wprowadzeniu nad rolą symbolu w kulturze albo lepiej, w życiu wspólnoty. Opisuje tę rolę w kontekście i w przeciwstawieniu do ról odgrywanych przez pojęcie znaku oraz pojęcie modelu obserwowanego zjawiska. Píše, że symbol to *hybryda złożona z wytworu kultury z skojarzonymi z nim emocjami*. Ale zdaniem tego recenzenta nadmiernie eksponuje subiektywny charakter emocji, której to emocjonalnej warstwy symbolu *się już definiować nie da*. Wprowadzenie (p. zwłaszcza pierwszy rozdział pierwszej części pt. „Kilka herezji na początek”) zawiera niejedno stwierdzenie, z którym nie może się zgodzić niżej podpisany, będący osobą może zbyt przywiązaną do myśli Akwinaty, m.in. dotyczącej docierania do istoty zjawiska czy szerzej bytu, oraz nieskorą nieledwie utożsamiać patriotyzm czy bohaterstwo z emocjami. Ale to są z kolei jedyne zarzuty merytoryczne, jakie potrafię postawić książce, do tego nieistotne w świetle jej treści zasadniczej.

Dlaczego zatem zatrzymałem się na krytyce rozdziałów wprowadzających w zawartość całości? Nie tylko dlatego, że chciałem je poddać pewnej krytyce, ale także dlatego, że cenną cechą książki jest uchwycenie roli symbolu w życiu inteligencji. O współczesnej tak píše Nalaskowski:

Z punktu widzenia badawczego interesująca jest niemal całkowita indolencja inteligencji na polu kreowania nowych symboli. Tak, jakby historia, życie, zmiany stanęły w miejscu. Jakby symbole były niepotrzebne. Umieliśmy do poziomu potężnego symbolu wynieść decyzję konklawe z października 1978 roku, słynne „Niech zstąpi Duch Twój”, ale całego pontyfikatu św. Jana Pawła II nie byliśmy w stanie udźwignąć i zamienić w symbol. Obecnie obserwujemy

tendencję wręcz odwrotną, próbę obrzydzenia tej postaci i obwiniania za to, czemu nie był winny. Przykładem nieudźwignięcia tego symbolu jest ewidentny niewypał z wykreowaniem „pokolenia JP2”. Straszliwy (tak, straszliwy!) obraz wylaniający się z manifestacji młodych ludzi w ramach tzw. strajku kobiet, obieranie sobie za mentorów postaci o podejrzanym lub dwuznacznym autoramencie, sprowadzenie poziomu komunikacji do potoku błuzgów, to wskaźniki klęski najszerzej pojętej edukacji (w tym szkoły) niemal całkowicie „wolnej” od nauk Papieża-Polaka. Jeszcze pamiętamy, jak ze śmiechem wspominał kremówki, ale nie chcemy pamiętać co wykrzyczał o życiu nienarodzonym w Kielcach. Tak bowiem wygląda edukacja bez symboli, a co gorsza z symbolami unieważnianymi.

Warstwę inteligentną określa Autor – i to bardzo dobrze – na sposób tradycyjny i typowy, tak jak to czynili myśliciele okresu międzywojennego, Józef Chałasiński w 1946 roku czy później Bohdan Cywiński. Historycznie to migrująca do miast zubożała albo pozbawiona majątku szlachta oraz ziemiaństwo, słowem populacja ogólnie biorąc nieźle wykształcona, obyta w świecie, kultywująca dobre tradycje i związana szczególnym etosem – służ by dla kraju i skądinąd różnie się objawiającego patriotyzmu. W dwudziestoleciu międzywojennym, jak napisze słusznie Nalaskowski, *do inteligencji zaliczano osoby co najmniej z maturą. Byli to jednak przede wszystkim absolwenci uczelni wyższych, księża, artyści i oficerowie. Niepisanym, ale kulturowo przyjętym wymogiem była pewna postawa moralna niekiedy utożsamiana z kindersztubą. Tym samym warstwa inteligencji otworzyła się także na osoby o nieszlacheckim pochodzeniu. Dziedziczenie szlachectwa miało już wtedy znacznie mniejsze znaczenie niż kompetencje intelektualne i społeczne.*

Autor ledwie szkicuje obraz „starej” inteligencji, tej rodem z międzywojnia, ale czyni to celnie, zaś lapidarność ujęcia tej historii jest książki zaletą. To książka o inteligencji współczesnej, chodzi więc o właśnie jej opisanie i tylko zderzenie jej obrazu z obrazem owej inteligencji „starej”.

Część pierwsza dzieła, której przedmiotem jest przedstawienie stanu inteligencji dzisiaj, jest porażająco prawdziwa, przez to momentami wstrząsająca. Autor dobrze rysuje smutną historię marginalizowania – oraz prześladowania! – inteligencji przedwojennej, także historię tworzenia przez komunistyczną władzę „nowej inteligencji”, ale to są historie szeroko znane i przez to już nie porażają, mimo że zdajemy sobie sprawę, iż nasze dzieje między rokiem 1945 i rokiem 1979 były dla polskiej kultury i w jej ramach inteligencji czasem wojny o przetrwanie. Nie bez kozery jako cezurę wyznaczyłem rok 1979. To był rok pierwszej wizyty papieża Polaka w ojczyźnie.

Chciałoby się napisać, że naszą historię po roku 1979 znamy doskonale, po części z autopsji, po części dzięki rodzicom. Ale gdybym mógł to napisać, to ... nie byłoby książki o bankructwie polskiej inteligencji! A już na pewno nie byłoby jej pierwszej części. Przełom lat 1970-tych i 1980-tych przyniósł nadzieję na odrodzenie etosu inteligentnego. I mogła ta nadzieja trwać przez czas jakiś, ale na pewno nie dłużej niż do odzyskania przez Polskę suwerenności w roku 1989.

Dziś, by tak rzec, nie mamy innego wyjścia niż utożsamiać inteligencję z populacją osób z wyższym wykształceniem. To jest znak czasu. Bogu dzięki, mamy w Polsce wąskie elity kulturalne zdolne udźwignąć jakiś znaczący dla kultury symbol, zdolne udźwignąć jakikolwiek ciężar – jak napisze Nalaskowski – *w imię Polski, w imię dobra wspólnego*. Ale to są elity by tak rzec niszowe, niewidoczne na scenie publicznej i nie o nich traktuje jego książka. Możemy mieć nadzieję, że przeniosą one w przyszłość ducha kultury i polskości, ale

jak się rzekło, dziś nie są one widoczne. Zaś ta szeroka populacja, którą widać i którą przyszło nam dziś utożsamiać z inteligencją, nie jest w stanie udźwignąć żadnego z wymienionych ciężarów. A jeśli nie ma w narodzie elity przewodzącej mu dobrymi wzorcami i widocznej na scenie publicznej, to naród ulega degeneracji.

Tak naprawdę my to wszystko dobrze wiemy, właśnie z autopsji, ale świadomość tego faktu wypieramy. Większość ulega emocjom – to dlatego właściwie słusznie przyznał im Nalaskowski w swoim wprowadzeniu wielką wagę – i albo daje się zwodzić guru antykultury, albo zamyka w mniejszych wspólnotach i im zresztą nierzadko dobrze służy. Autor „Bankructwa” nie zajmuje się tymi w istocie indywidualnymi poszukiwaniami, pokazuje natomiast, co zamierzył – obraz współczesnej inteligencji oraz jak doszło do tego, iż o kiedyś w Polsce powstałej warstwie inteligencji należy mówić w czasie przeszłym.

Nie chcę odbierać przyszłym czytelnikom satysfakcji z lektury i przeto pomijam omówienie zawartości części pierwszej książki. Poza jednym, anegdotycznym przykładem. Są miejsca, w których nie należy bywać, jeśli zachowało się dobry smak i wierność zasadom. Takim miejscem jest dom gen. Jaruzelskiego z jego portretem na ścianie i jego ulubioną zastawą podawaną do popijania herbaty. Nie opisał tego Nalaskowski, żeby oponować przeciw rozmowom z panią Moniką Jaruzelską, ale by zaprotestować przeciw ich miejscu. Spotkania w domu generała to nie tylko brak kindersztuby, to wyraz obojętności na co prawda przeszłe, ale bezwzględne zło. A tam spotykała się z panią domu także najlepsza część naszej inteligencji.

O tym co w książce Nalaskowskiego najgłębsze i najbardziej odkrywczym, napiszę ... najkrócej. Części druga i trzecia mają wartość ogromną, trudną do przecenienia. Najpierw dostajemy fascynujący wykład dlaczego kultura stoi zespoleciem w jedno i wykluczeniem innego – innej kultury. Nie ma żadnego „między”, to kpina ze zdrowego rozsądku i ludzkiej normalności. Ludzkiej, a nie jakiejś wymyślonej, abstrakcyjnej oraz niemożliwej do przyjęcia przez człowieka, jeśli ten chce zachować swoje człowieczeństwo (chce pozostać członkiem gatunku homo sapiens). Absolutnie nie implikuje to wrogości wobec innych kultur, mamy pozostać im przychylni, byle one nas nie atakowały. Te ogólne myśli Nalaskowski wspaniale i z naukową dokładnością ilustruje przykładem Izraela – jego wieloetnicznej i wielokulturowej ludności oraz ... wszechobecnym turystom. Krótko i żeby zaciekawić – gdyby nie turyści, nie byłoby jako takiego współzycia różnych kultur w ramach jednego państwa izraelskiego.

Część trzecią poświęcił Autor szkole. W tym przypadku mamy autora specjalistę wybitnego – profesora pedagoga z ogromnym dorobkiem naukowym, z trzydziestoma wypromowanymi doktorami oraz praktyka, twórcę i dyrektora liceum społecznego z 25-letnią praktyką, liceum, którego dobre imię było znane w całej Polsce i które dopracowało się własnej, oryginalnej metody pedagogicznej, dobrze się sprawdzającej przez wiele lat. Nalaskowski daje wykład szczegółowy, sięga do historii, analizuje współczesność z jej informatyzacją i problemami nauczania zdalnego, dodaje moc materiału empirycznego, by wykazać, że szkoła w obecnym, najszerzej pojętym kształcie jest pełnym ... przeżytkiem. Taka szkoła jest nie do uratowania, tu nie chodzi o jakąkolwiek reformę, tu chodzi o szkołę zupełnie inną. Jaką, o tym Autor też pisze. Najkrócej: Kiedyś szkoła przyciągała ucznia, była atrakcyjna. Dziś jest miejscem, w którym uczeń musi, i tylko musi. Uczeń zgadza się na to, ponieważ potrzebne mu jest świadectwo jej ukończenia. Szkoła jest dla rodziców wygodną i koniecznie im potrzebną przechowalnią dzieci, niczym więcej. Co z tym zrobić, po niezwykle rzetelnej analizie całości zagadnienia pisze Nalaskowski. Tę część jego dzieła powinni poznać wszyscy

nauczyciele i zwłaszcza ci, którzy o kształcie polskiej edukacji decydują – od kuratorów po ministrów.

Czwartej części książki nie mogę przyznać już tego niesłychanie istotnego znaczenia, jakie przyznałem części trzeciej. Ale to dlatego, że przyszłość szkoły jest najważniejsza, gdy myśleć o przyszłości. Ta czwarta część jest poświęcona Akademii, czyli społeczności naukowców i nauczycieli akademickich jako bardzo ważnemu segmentowi inteligencji. Jest to część znakomita, wspaniale udokumentowana, np. doskonale pokazująca jak bardzo głos tego segmentu rozmija się z głosem ogółu obywateli RP. Jak bardzo głos Akademii jako całości opowiada się po stronie kulturalnego nihilizmu i moralnego zepsucia pod płaszczem radykalnej lewicowości oraz poprawności politycznej.

Wymowa części czwartej skłania – co nota bene nie zaskakuje, ponieważ widać to na co dzień – do najgłębszego pesymizmu. Toż mowa tu jest o elicie inteligenckiej, której zadaniem jest między innymi kształcenie przyszłych pokoleń, zwłaszcza nauczycieli. A ta „elita” okazała się bezradna wobec odzyskanej przez Kraj suwerenności. Doskonale opisuje ten fakt Autor „Bankructwa” i, jak poprzednio, nie będę tu streszczał jego wykładu. Co zaś było od roku 1989 widać jak na dłoni. W niemałej części chwalebny dla tej elity krótki okres „Solidarności” i po nim opozycji stanu wojennego umarł w akademijnej masie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Albo raczej jak za dotknięciem różgą relatywizmu etycznego oraz troski o dobrą pozycję na akademijnym rynku. Różga ta wypędziła z duszy Akademii wierność pryncypiom oraz pamięć historyczną, unieważniła historię oraz kazała się poddać płynącemu z Zachodu idolowi poprawności politycznej.

Na koniec dodaję, że Autor wymyślił na użytek opisu kondycji Akademii model nie tylko zaskakująco oryginalny, ale – co nieskończenie ważniejsze – doskonale adekwatny.

Książkę polecam każdej i każdemu, także tym, którzy jak niżej podpisany byli przed lekturą przekonani, że niczego nowego w dziele Aleksandra Nalaskowskiego nie znajdą.